

Witold Sadowy – z aktora stał się Charone

W mieszkaniu na Mokotowie telefon nie przestaje dzwonić. Na podłodze wazony z kwiatami, doniczki. Jest ich tak dużo, że nie da się przejść. Dwa dni wcześniej Witold Sadowy, aktor warszawskich teatrów, felietonista i kronikarz życia teatralnego, skończył 98 lat.

ZUZANNA BUKŁAHA

Urodził się 7 stycznia 1920 r., wychował przy ul. Nowowiejskiej. Tam razem z rodzicami i młodszym o cztery lata bratem mieszkał aż do wybuchu wojny. Ojciec Witolda był fotografem, matka zajmowała się domem i dziećmi. Poznali się w Niemczech, w obozie pracy, gdzie trafili w czasie pierwszej wojny światowej.

– Teatrem interesowałem się od dziecka – opowiada Sadowy. Mimo

wieku pamięta wszystko: każdą datę, nazwisko. Głos ma żwawy, mówi szybko i bardzo wyraźnie. – Przed wojną chodziłem do dziecięcego Teatru Tymoteusza Ortyma na wszystkie przedstawienia, a potem w domu sam urządzałem teatr. W gimnazjum, w tajemnicy przed rodzicami, zapisalem się do prywatnej Szkoły Dramatycznej Hanny Ossorii, bo koniecznie chciałem zostać aktorem.

Już jako czternastolatek zaczyna asystować na planie filmowym. Może z bliska obserwować grę Eugeniusza Bodo w „Pieśniarzu Warszawy” (1934) i „Piętro wyżej” (1937). Na co dzień uczy się w prywatnym Gimnazjum Zgromadzenia Kupców przy Prostej. Większość uczniów w szkole ma żydowskie korzenie: to dzieci właścicieli kin i wytwórni filmowych. Witold bardziej niż o zostaniu gwiazdą kina marzy o karierze aktora. Póki co musi jednak powtarzać klasę.

Pod koniec gimnazjum składa dokumenty do Akademii Teatralnej, data egzaminu zostaje wyznaczona na 7 września. Jednak zamiast pierwszych kroków na scenie nadchodzi wojna i okupacja niemiecka. Rodzina Sadowego zostaje wykwaterowana do mieszkania przy Grzybowskiej. Niedługo potem z tatą i młodszym bra-

tem Stefanem próbują przedostać się do Lublina.

– W połowie drogi, było to już po 17 września, wyciągając kubel ze studni, zobaczyliśmy nieznajomych ludzi majstrujących przy naszym samochodzie. Ubrani byli w mundury z koców z przewieszonymi karabinami na sznurku. Po rosyjsku nakazali ojcu uruchomić samochód, a kiedy mu się to nie udało, uznali to za sabotaż i chcieli nas rozstrzelać. Rozpoczął się niemiecki nalot. Upadliśmy na ziemię, a kiedy się uspokoiło, Rosjan już nie było.

Wtedy udało mu się po raz pierwszy.

Dwa miesiące na Pawiaku

Szybko wrócili do Warszawy. Przywitały ich powiewające nazistowskie flagi. O aktorstwie nie mogło być mowy. Żeby jakoś wiązać koniec z końcem, dwudziestoparoletni Witold zaczyna pracę jako kelner w kawiarni Kazimierza Dakowskiego na rogu Bagateli i Flory. Pracę dostaje dzięki znajomej, Oldze Orleńskiej, przedwojennej śpiewaczce.

Dość szybko w wyniku łapanek trafia na Pawiak. Ale i wtedy ma szczęście – po dwóch miesiącach słyszy: „jesteś wolny”.

Okazuje się, że wolność podarował mu Austriak, stały bywalec kawiarni. Znajomy Witolda, który u Dakowskiego był konferansjerem, poprosił go, aby ten wstawił się za uwięzionymi przyjaciółmi.

Udało się. A o Austriaku, który wyciągnął Sadowego z więzienia, wiadomo tylko tyle, że jakiś czas później został rozstrzelany.

Powstanie warszawskie zastaje Witolda i jego przyjaciela Jurka w pociągu z Warszawy do Pruszkowa. Tam znów trafiają na łapankę. Noc w komisariacie, rano do ciężarówki i obozu. Witold zaczyna jednego z kierowców. W zamian za wolność proponuje mu zegarek na złotym łańcuszku i złoty krzyżyk. W odpowiedzi słyszy po polsku: „jak na placu powiem: lekarze na jedną stronę, to macie stanąć po stronie lekarzy”.

Wtedy po raz kolejny udaje mu się przeżyć. A łańcuszek ze złotym krzyżkiem nosi na szyi do dziś.

Przez zamarznąłą Wisłę

Do Warszawy wrócił już dwa dni po wyzwoleniu. W powstaniu warszawskim stracił ojca i brata. Razem z matką odnajdują mieszkanie przy Grzybowskiej, które częściowo ocalało. Witold zdobywa tytoń. Ona skręca pa-

pierosy, a on je sprzedaje. Nie jest łatwo, ale po latach powie, że nigdy potem nie było takiej atmosfery: ludzie byli dla siebie życzliwi, cieszyli się na swój widok, pomagali.

Witold dowiaduje się, że po drugiej stronie Wisły działa teatr. Przez zamarznąłą rzekę dostaje się na Pragę, do Teatru Miasta Stołecznego Warszawy, którego ówczesnym dyrektorem był Jan Mroziński, znajomy z czasów okupacji. Wpadają sobie w ramiona. Mroziński krzyczy: „Spadłeś mi z nieba! Chcesz być aktorem?”. Odpowiedź była jasna.

Witold wciela się w rolę 16-letniego syna burmistrza w sztuce Maeterlincka „Burmistrz Stylmondu” i tym samym debiutuje na deskach teatru. Premiera odbyła się 8 maja 1945 r.

Za każdy spektakl dostaje 100 zł, po premierze – 150 zł, talerz zupy i bochenek chleba (wtedy za 500 zł można było kupić kilogram słoniny).

„Wszystko szło wspaniale, ale nagle rozeszła się wieść, że Mrozińskiego odwołują. Zanim to się stało, otworzył jeszcze w dawnym kinie na Marszałkowskiej, róg Hożej, Teatr Mały. To była pierwsza scena w lewobrzeżnej Warszawie. Na jednym ze spektakli pojawił się Arnold Szyf-

m

man i zapytał, czy nie chciałbym przenieść się do Teatru Polskiego” - wspominał w „Stolecznej” trzy lata temu.

W Teatrze Polskim, do którego trafił w 1946 r., nie zagrzał długo miejsca. Dostał niewielką rolę Lechona w „Lilli Wenedzie”, po czym wrócił do Miejskich Teatrów Dramatycznych (m.in. Powszechny, Mały i Rozmaitości).

„Grałem tam wielkie role. Do Polskiego wróciłem kilka lat później, za dykcji Leona Schillera. Bałem się go bardzo. Był cudownym, wielkim panem i wielkim reżyserem, korpulentnym, palącym mnóstwo papierosów” - opowiadał.

Ale Albina w „Ślubach pańskich” gra już na deskach Teatru Rozmaitości, z którym wiąże się aż do emerytury.

Pogrzebacz, nekrolog, Charon

Na początku lat 80. zaczyna się jego romans z „Życiem Warszawy” - pisze swój pierwszy tekst o historii praskich teatrów po wojnie. Redakcji się podoba, więc zamawiają u niego felietony co tydzień: wspomnienia zza kulis i ze sceny. A potem pożegnania. Pierwsze, gdy umiera jego bliska znajoma Tola Mankiewiczówna, jedna z najpopularniejszych

aktorek i piosenkarek dwudziestolecia.

Pisze. Ale też się obrusza.

„Nie chcę być pogrzebaczem” - rzuca w redakcji. „Witold, nawet nie masz pojęcia, jak to, co piszesz i robisz, jest ważne” - słyszy w odpowiedzi.

Dziś śmieje się, że nie pasuje do niego ani „pogrzebacz”, ani „nekrolog”. Ale „Charon” już mu się podoba.

W 1994 r. zaczyna współpracować z „Gazetą Wyborczą”. Na jej łamach drukuje wspomnienia o swoich znajomych i przyjaciółach z desk teatralnych. W archiwum można znaleźć ponad tysiąc publikacji,

w których żegna najbliższych. Jego pożegnania są regularnie drukowane w „Gazecie Stołecznej” do dziś.

„Już wystarczy”

Ostatni dzień na scenie: 1988 r., drugi dzień świąt Bożego Narodzenia, Teatr Rozmaitości. Witold jako austriacki feldmarszałek w „Gałązce rozmarynu” Zygmunta Nowakowskiego. Czuje, że bierze go grypa. Po spektaklu wychodzi z teatru, żegna się: „do jutra, do zobaczenia”.

Rano odbiera telefon od znajomych z „Życia Warszawy”: „Twój teatr płonie!”. Do dziś nie wyjaśniono, co się stało.

Pożar zakończył jego karierę, choć miał jeszcze propozycje. Jego zespół wyjeżdżał do USA, ale on zdecydował, że już wystarczy.

Sam dużo podróżował, szczególnie w czasach Polski Ludowej. - Aktorzy byli wtedy faworyzowani - przyznaje.

Człowiek tolerancyjny

Witold Sadowy dziś: 98 lat, bystry umysł. Rok temu wydał swoją piątą książkę - „A życie toczy się dalej”.

Jest też czuły na słowa. I mówi otwarcie, co myśli. Trudno mu zaakceptować zmiany, które zachodzą w teatrze. Nie podobają mu się

Witold Sadowy w swoim mieszkaniu, na stole jeden z urodzinowych bukietów kwiatów. Aktor i publicysta urodził się 7 stycznia 1920 r.



m.in. „Dziady” w reżyserii Radosława Rychcika czy Michała Zadura. - Żyję długo. Mam skalę porównawczą - tłumaczy. - Nie muszę już kłamać i nikomu się podlizywać. Nie podobają mi się przedstawienia Mai Kleczewskiej, Moniki Strzępki i Pawła Demirskiego. W czasach mojej młodości nie podobali mi się Józef Szajna i Jerzy Grzegorzewski. Z obydwojma pracowałem. Jestem tradycjonalistą. Nie akceptuję przerabiania i przenoszenia na siłę klasyki do współczesności.

Przyznaje jednak: - Ale rozumiem, że czas nie stoi w miejscu. To, co podobało się mojemu pokoleniu, nie musi wcale podobać się młodemu. Tak jest też z językiem, który jest plugawy. Nie muszę się takim językiem posługiwać, ale muszę go zaakceptować. Takim językiem mówi dziś cały świat, który pędzi jak oszalały. Nie wiem dokąd. W dobrym czy złym kierunku? Nieważne. Trzeba być tolerancyjnym.

Dziś z młodzieżą spotyka się na scenie Collegium Nobilium, chodzi na wszystkie przedstawienia dyplomowe studentów Wydziału Aktorskiego i mówi o nich: „nadmiar utalentowanych ludzi”. ●